




**W głowie
Brunona Schulza**

MAXIM BILLER

 **PWN**

**W głowie
Brunona Schulza**

MAXIM BILLER

tłumaczyła
Małgorzata Mirońska

Pochwalony niech będzie ten,
kto powołuje do życia dziwne twory.
S.J. Agnon, *I krzywe będzie proste*

„Wielce Szanowny, Czcigodny, Drogi Panie Tomaszu Mann”, w pewien zaskakująco ciepły listopadowy dzień jesienią 1938 roku mały, szczupły, poważny mężczyzna napisał powoli i ostrożnie w swoim notesie – i natychmiast przekreślił te słowa. Wstał ze zbyt niskiego, cicho skrzypiącego krzesła obrotowego, na którym siedział od wczesnego popołudnia przy także zbyt niskim biurku pochodzącym z dawnego biura jego ojca, wyciągnął przed siebie ręce, jakby to była poranna gimnastyka, potem przeniósł je na boki

i do góry, kilkakrotnie powtórzył całą operację, wreszcie, zadzierając głowę, patrzył dwie, trzy minuty na wąski, zabrudzony świetlik, przed którym wciąż na nowo pojawiały się buty i nogi, spiczaste czubki parasoli i obrąbki spódnic przechodniów spieszących ulicą Floriańską. Potem znów usiadł i zaczął jeszcze raz od początku.

„Wielce Szanowny Panie!”, napisał. „Wiem, że codziennie otrzymuje pan dziesiątki listów i jeśli się nie mylę, więcej czasu spędza Pan na odpowiadaniu na tę lawinową korespondencję aniżeli na pisaniu Pańskich wspianych, cudownych, słynnych na całym świecie powieści. Doskonale sobie wyobrażam, co to znaczy! Ja sam muszę trzydzieści sześć godzin w tygodniu wprowadzać w tajniki rysunku moich kochanych, ale kompletnie pozbawionych, niestety, talentu chłopców, i gdy pod koniec dnia opuszczam zmęczony gimnazjum Jagiello, w którym uczę...” – przerwał, znów się podniósł i uderzył przy tym lewym kolaniem w biurko. Zamiast jednak, jak by to zrobił każdy na jego miejscu, zacząć rozcierać stłu-

czone kolano albo klnąc cicho, kuśtykać po małym pokoiku w suterenie, chwycił obiema rękami głowę – była to bardzo duża, niemal trójkątna, ładna głowa. Z daleka przypominała papierowy latawiec, który jego uczniowie puszczali od pierwszych wietrznych dni wrześniowych w kamieniołomie Koszmar-sko – ścisnął ją mocno i zaraz puścił jednym gwałtownym ruchem, jakby chciał w ten sposób pomóc swoim myślom wydostać się na zewnątrz. To podziałało, jak prawie zawsze, i już siedział znów przy stole i pisał na nowej, pustej stronie szybko i bez zastanowienia. „Drogi Doktorze Tomaszu Mann! Chociaż nie znamy się osobiście, czuję się w obowiązku poinformować Pana o sprawie równie delikatnej, jak bulwersującej, która od niedawna spędza mi sen z oczu. Ale do rzeczy. Otóż przed trzema tygodniami przybył do naszego miasta Niemiec, który utrzymuje, że jest Panem we własnej osobie. Ponieważ znam Pana jedynie z fotografii zamieszczanych w gazetach, jak zresztą my wszyscy tutaj w Drohobyczu, nie mogę przeto stwierdzić z absolutną

pewnością, że ów człowiek nie jest Szanownym Panem, ale już same tylko historie, którymi nas raczy – abstrahując od jego sfatygowanego ubrania i ostrego zapachu ciała, który go spowija – budzą wiele wątpliwości, dając pole do snucia domysłów i spekulacji. Nie chciałbym stawiać ostatecznej diagnozy, według mnie jednak ten przybysz jest mocno podejrzany”.

„No, bardzo dobrze, to powinno wystarczyć na początek”, pomyślał z zadowoleniem mały, poważny mężczyzna w suterenie przy ulicy Floriańskiej i wsunął ołówek – był to Koh-i-Noor HB, którym w razie potrzeby mógł także rysować – do wewnętrznej kieszeni ciepłej, belgijskiej marynarki, którą nosił przez okrągły rok. Potem zatrzasnął czarny notes z pustą nalepką na stronie tytułowej i pogładził policzki w sposób, jakby to nie była jego twarz. Po raz pierwszy tego dnia, nie, pierwszy raz od wielu miesięcy, może nawet od lat, nie miał uczucia, że z otaczających go ścian zaraz wypełzną wielkie, czarne jaszczurki i złośliwie szczerzące się, łpiące

na niego chytrze, zielone jak nafta żmije. Nie słyszał, jak to zwykle bywało, co parę minut łopotu ogromnych skrzydeł archeopteryksa tuż za swoimi plecami, nie bał się, że już niedługo, bardzo, bardzo niedługo, wydarzy się coś niewyobrażalnie strasznego. Kiedy to sobie uświadomił, natychmiast znów wpadł w panikę, ponieważ to mogła być tylko pułapka losu.

Odkąd tylko mógł myśleć, Bruno – tak nazywał się mężczyzna z twarzą papierowego latawca – budził się każdego ranka ze strachem. Strach i on szli razem na śniadanie do herbaciarni Lisowskiego, strach towarzyszył mu w drodze do gimnazjum i spoglądał przez ramię, kiedy przygnębieni chłopcy pokazywali z markotnymi minami panu profesorowi swoje jak zwykle nieudane rysunki zwierząt i pokryte czarnymi odciskami palców gipsowe modele ich małych, wdzięcznych główek. Strach nie odstępował go na krok, kiedy gawędził na przerwach z innymi nauczycielami – zazwyczaj poruszano blahe i z gruntu nieistotne kwestie „zawodowe”, jak młodzień-

cze wybryki, blagi i popisy gimnazjalistów, czasem ktoś zmieniał temat na bardziej poważny i zaczynał opowiadać o nowym spektaklu w warszawskim teatrze Kamińskiego¹, ale nigdy i nikt nie zahaczył, nawet przypadkiem, o polityczny szum, który robili ostatnio Niemcy – i nie opuszczał go również, kiedy młoda nauczycielka sportu i filozofii Helena Jakubowicz dopytywała, co się dzieje z jego nową powieścią, na którą, jak mówiła, z rosnącą niecierpliwością i rozdrażnieniem czekają wszyscy w Polsce mający jakie takie

¹ Abraham Izaak Kamiński, 1867–1918, polski aktor żydowskiego pochodzenia, reżyser, scenarzysta, tłumacz i autor sztuk teatralnych. W 1908 roku został współzałożycielem Literarische Trupe – pierwszego dramatycznego zespołu stawiającego sobie za cel wystawianie wartościowego repertuaru literackiego. W latach 1908–1909 wyruszył wraz z trupą na występy do Rosji, a następnie do Stanów Zjednoczonych. W 1913 roku razem z żoną przeprowadzili adaptację gmachu rotundy na Dynasach z przeznaczeniem na teatr na 1500 miejsc – pierwszy w Warszawie stały teatr żydowski. Po jego śmierci teatr, który założył, został nazwany jego imieniem. Przyp. tłum.

pojęcie o literaturze. Tylko kiedy Helena Jakubowicz – mała, atletyczna i owłosiona na twarzy jak mądra szympanśica bonobo² – kładła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła je delikatnie, ale stanowczo, strach ulatniał się jak kamfora. Zaledwie jednak zabierała dłoń z jego ramienia, znów się pojawiał, i tak, rad nie rad, musiał brać go ze sobą do wielkiego, zaciemnionego mieszkania przy ulicy Stryjskiej, gdzie na szczęście usuwał się taktownie i nie pchał z butami do pokoju którejś z dziewczyn, gdzie zniknął Bruno, na godzinkę lub pół. Lecz jak tylko załatwił sprawę i dziwnie wesół wychodził na ulicę, strach już sadowił się na nowo w jego brzuchu – tak, tam przesiadywał najchętniej, wielka, ciepła, szara bryła, która nieustannie obracała się z chrzęstem, masakrując żołądek – a on, cóż było robić, niósł ją z powrotem do domu. I nawet kiedy później,

² Szympanś karłowaty – *Pan troglodytes paniscus*, nieco mniejsza forma szympansa, gatunek ginący, objęty ochroną, zamieszkuje dżungle Afryki równikowej na południe od rzeki Kongo. Przyp. tłum.

po krótkiej kolacji i pospiesznym przekartkowaniu „Tygodnika Ilustrowanego” i „Neue Freie Presse” siadał wreszcie przy biurku swojego ojca w suterenie, znów miał go na karku. Strach był z nim, kiedy Bruno pisał, gdy rysował, gdy – jak zawsze podczas pracy – myślał o kurczącym się, umierającym ciele taty albo o bezradnym potrząsaniu głowami rosyjskich żołnierzy, którzy w drugim roku wojny przez pomyłkę podpalili ich dom w rynku, a kiedy strach wreszcie się zmęczył i chciał się wymknąć cichaczem, mały, poważny mężczyzna wyobrażał sobie szybko, że w pewien chłodny letni poranek poderznął sobie gardło brzytwą zamiast jego śmiertelnie chorego szwagra Jankela – a szara bryła z miejsca zaczynała mu wiercić jeszcze głębszą dziurę w brzuchu. Tylko we śnie Bruno był naprawdę sam, opuszczony przez strach. Śnił wtedy o Zurychu, Paryżu i Nowym Jorku, gdzie żyją setki, tysiące takich jak on zepsutych, delikatnych mężczyzn i kobiet, którzy uśmiechają się do siebie ukradkiem w kawiarniach, parkach i bibliotekach, kiwają porozumiewawczo glo-



wami, nigdy jednak nie mówią ani słowa i za pośrednictwem tego tajnego kodu dodają sobie odwagi.

– Profesorze Schulz! – Bruno usłyszał nagle głęboki, ale jeszcze niepewny, zachrypnięty głos jakiegoś chłopca, który wołał z dworu. – Nie było pana dziś w szkole! Dostanie pan naganę!

Chłopiec zaśmiał się głośno, a razem z nim zaśmiało się kilku innych kompanów. Mały urwis zastukał w świetlik kijkiem, ale musiał to być raczej ptasi dziób, a stukanie, z początku ciche i skrobiące, stało się nagle głośne. Bruno zsunął się z krzesła na podłogę za biurkiem, tak samo jak przedtem złapał się za głowę, szeroko rozstawiając łokcie, i zakrył drobnymi dłońmi swoje wielkie uszy, a kiedy zerknął na świetlik ponad krawędzią biurka, ujrzał kilka małych dzióbków, które skrobały po brudnym szkle i uderzały w nie raz po raz. Natychmiast znów ześlizgnął się w dół, jeszcze mocniej przycisnął dłonie do uszu, żeby wyeliminować wszelkie zewnętrzne odgłosy, i w tej samej chwili zatracił się w ogłuszają-

cym szumie morza, które falowało od środka jego głowy na cały świat.

W głębi duszy Bruno miał nadzieję, że w szkole nikt nie zauważy jego nieobecności, zwłaszcza ta ładna Helena o gęstych, jasnych i często byle jak uczesanych włosach, od których był, niestety, ostry, przenikliwy zapach uryny i wilgotnego, zleżalego siana wyściełającego klatkę dla zwierząt. Nie dalej jak wczoraj zamknęła go prawie na całą godzinę lekcyjną w pozbawionym światła schowku na zepsute przyrządy gimnastyczne obok hali sportowej. Dlaczego, tego nie wiedział, mógł tylko przypuszczać, że miało to jakiś związek z ich ostatnią rozmową w czasie przerwy, kiedy drżał jeszcze bardziej niż zwykle i żadną miarą nie mógł się uspokoić, nie pomógł nawet nieoceniony w normalnych okolicznościach nacisk jej krótkich, ale ostrych, niespilowanych paznokci. No i co? Po prostu nie powinna była go prosić, żeby pokazał jej kilka – przynajmniej kilka – stron jego powieści. Na dodatek było mu zimno, pomimo tych cudownych letnich dni w samym środku listopada

– prawdziwy dar niebios – i grubej marynarki. Kiedy wreszcie go wypuściła, zaraz poczul się lepiej, w każdym razie tak jej powiedział, żeby jeszcze bardziej jej nie rozgniewać, a ona mu obiecała, że niebawem znów go zamknie. Kto wie, dodała, rzucając mu wymowne spojrzenie spod długich rzęs, może i ona dołączy do niego na kwadrans lub dwa, mogłaby, jeśli on będzie miał ochotę, w jednym z tych chaotycznych sklepików za rynkiem, co to zawsze otwierają się tylko późnym wieczorem na kilka godzin, a czasem nawet i to nie, kupić kilka drobiazgów, które już od dawna chciała z nim wypróbować. Mógł sobie wyobrazić, co jej chodziło po tej rozczochranej głowie! Nie, odpowiedział, raczej nie, chociaż na samą myśl o tych rzeczach – weneckie maski Colombiny z czarnej skóry, wypchane trocinami pierrotty wielkości penisa, uplecione z młodych wierzbowych witek i przetykane cienkimi stalowymi łańcuszkami pejczy, srebrne kleszcze na fujarkę i japońskie świece szunga, których kapiący wosk nie parzył i nie pozostawiał na skórze bolesnych pęcherzy – natychmiast

czuł się zadziwiająco dobrze i bezpiecznie jak w łonie matki, a kiedy gwał z powrotem na złamanie karku do sali rysunkowej na drugim piętrze, gdzie jego uczniowie właśnie urywali sobie głowy, zastanawiał się poważnie, czy następnego dnia nie powinien zostać w domu i symulować przeziębienia. Jesienna pora znakomicie nadaje się do tego celu. Później, było to już w drodze do domu, przypomniał sobie nagle, że od dłuższego czasu zamierzał napisać list do Zurychu, i od razu poczul ulgę. Jutro idzie na wagary! Postanowione.

„Podejrzany jest również sposób, w jaki rzekomy Tomasz Mann je i mówi”, napisał w notesie Bruno, siedząc dalej na podłodze, podczas gdy stukanie w szybę okienną jakby nieco zelżało. „Kroi on wprawdzie mięso i ziemniaki na talerzu, znudzony i precyzyjny, jak chirurg tkanek pacjenta, przedtem zaś rozpościera na kolanach serwetkę z jeszcze większą pieczołowitością niż dawniej surowa Adela każdego ranka świeżo wstrząśnięte i wytrzymane poduszki, kołdry i narzuty na naszych łózkach. Zaraz potem jednak obcy ciska z im-

petem nóż i widelec, które mkną jak strzała przez całą restaurację w hotelu «Pod chwającą się piramidą», gdzie od tygodni okupuje łazienkę dyrektora Hasenmassa, sięga rękami do talerza, kindersztuba poszła w las, napycha sobie usta jedzeniem, a krew chlusta mu na koszulę i zalewa oczy. Na szczęście jeszcze nigdy nie trafił nikogo latającymi sztućcami! Wielu ważnych ludzi z naszego miasta, którzy od dnia jego przybycia otaczają go atencją i uwielbieniem niczym rój pszczół swoją królową, natychmiast idzie w defensywę, kuląc się pod stołem – by po chwili znów się wynurzyć na powierzchnię – kąciaki ust wysoko uniesione w przy pochlebnym uśmiechu, oczy z przerażenia zaczerwienione i szkliste – i proszą go o uniżenie, by zechciał dalej opowiadać swoje niesamowite, ekscytujące historie”.

Bruno zrobił na moment przerwę. Podstępne stukanie i skrobanie ptasich dziobów ustało na szczęście, za to na dworze nastał wieczór, prawie noc, tak raptowny i groźny jak każdego dnia w jego życiu. Ale w suterenie wciąż panował zateczęły półmrok z resztkami o wie-

le bardziej zależnionych, daremnych godzin pracy, i to przypomniało mu zaraz na nowo, że z wielkiej książki, którą od lat obiecywał przyjaciółom, kobietom i kolegom w Lembergu, Warszawie i w domu, poza tytułem nie ma nic, ani jednej strony, ani jednego rysunku. Nie wiedział nawet, jaką treścią zapełni to dzieło swojego życia. Ale przynajmniej napisał wreszcie pierwsze opowiadanie po niemiecku, i jeśli dzięki wstawiennictwu Tomasza Manna ten krótki przecież tekst zostanie opublikowany w „Neue Rundschau” albo w „Sammlung”, wówczas nawet jego strach, nawet on go nie powstrzyma, żeby na zawsze opuścił Drohobycz i Polskę. Przychylił list sławnego pisarza, jego rekomendacja do Querido w Amsterdamie albo Bermanna Fischera w Sztokholmie, i natychmiast, bez najmniejszych choćby wyrzutów sumienia, wrzucił do starej skórzanej walizki taty kilka rękopisów, swoje bloki rysunkowe, trochę bielizny i przybory do golenia i wyruszył w drogę ku wolności.

„Im dłużej jest tutaj ten obcy”, pisał dalej Bruno, podczas gdy swawolny uśmiech rozja-

śnił jego surową, niemal smutną twarz, „tym częściej pada z naszych ust pytanie, co takiego niezwykłego człowieka, laureata Nagrody Nobla, przygnało akurat do małego, zapomnianego Drohobycza. Pytanie na wskroś zasadne, każdy się z tym zgodzi. Bo czy jego dzieła nie zostały przetłumaczone na trzydzieści siedem języków? Czy nie zalicza on do swoich przyjaciół takich znakomitości jak Albert Einstein, Arthur Rubinstein i Franklin D. Roosevelt? Czy nie jest zamożniejszy niż wszyscy polscy i żydowscy pisarze zachodniej Galicji razem wzięci, i choćby dlatego mógłby przecież, jeśli już przybył w naszą okolicę, pozwolić sobie na wynajęcie eleganckiego apartamentu w Rosyjskim Dworze w Lembergu? Na co on – albo z przesadną uprzejmością, albo wściekle tupiąc swoimi uwalanymi błotem, dziurawymi buciorami – udziela zawsze innej odpowiedzi. Raz opowiada, że w Zurychu nie można dłużej czuć się bezpiecznie, ponieważ Niemcy już i tam zaczęli skrycie mordować swoich wrogów – nocą wdzierają się do domów i wyrzucają ich z okien na bruk, ale do Polski nigdy

nie przyjdą, nie ma takiej możliwości. To znów wspomina o straszliwie oszpeconym, a mimo to bardzo towarzyskim i miłym w obyciu litewsko-amerykańskim przedsiębiorcy, który od lat mieszka w Drohobyczu i mógłby bez problemu załatwić amerykańskie wizy jego żonie i szóstce dzieci. Nigdy w życiu nie słyszałem o tym mister Katanauskasie, nie znając również członkowie naszego sympatycznego komitetu Tomasza Manna, ale oczywiście, jakżeby inaczej, nie mają odwagi przyprzeć mistrza do muru i dokładniej go wy badać”.

Bruno znów zrobił przerwę, westchnął ciężko, a ponieważ skończył mu się concept, w poszukiwaniu inspiracji podniósł wzrok i w gęstniejącym półmroku suterenu nie rozpoznał swoich rysunków, które porozwieszał na wszystkich ścianach, a które od wiecznej wilgoci panującej tu na dole pofałdowały się jak ciała starych kobiet. W wieczornej szarówce ciała i twarze mężczyzn, kobiet, ptaków, koni, psów, których Bruno nigdy nie potrafił przestać rysować, sprawiały wrażenie jeszcze bardziej zdeformowanych, przezroczystych

i kruchych, wydawały się żywe i martwe razem, i to podsunęło mu pewną myśl.

„Jednego wieczoru”, kontynuował, przeczytawszy pobieżnie to, co już napisał – w dwóch, trzech miejscach naniósł poprawki – „rzekomo Tomasz Mann rozwalony na kanapie w barze hotelu «Pod chwiejącą się piramidą» oświadczył nieoczekiwanie, że chciałby u nas, w mieście Jagienki Łomskiej, w mieście pogromu, zbierać materiały do swojej nowej noweli. Będzie to historia oparta na faktach – powiedział z sadystrycznym niemal chichotem, a oczy błyszczały mu złowrogo – które zapewne dobrze znacie. Mamy więc pogrom Żydów i mamy uprowadzenie małej chrześcijańskiej dziewczynki, zamordowanej później bestialsko. Do tej pory wszystko się zgadza, nieprawdaż? Podejrzanie – ciągnął, trzęsąc się ze śmiechu (Drogi Doktorze Mann, czy może Pan to sobie wyobrazić?) i kilka razy uderzył dyrektora Hasenmassa otwartą dłonią po łysinie – padnie najpierw na jej wuja, potem na Żydów w mieście, a ponieważ bardzo szybko wyjdzie na jaw, że sprawcą tej ohydnej zbrodni był jednak wuj, chrześcijanie

wpadną w taką furję, że wymordują wszystkich Żydów i podpalą ich domy. Kiedy potem ogień zajmie ich własne dzielnice, będą obwiniać się nawzajem o zniszczenie miasta, skoczą sobie do gardeł, będą się przebijać nożami i widłami i gwałcić najlepszych przyjaciół i przyjaciółki, dzieci i matki. «A zatem, moi przyjaciele», powiedział do nas fałszywy obcy, kiedy już skończył i ocierał łzy ze śmiejących się oczu, «jak się wam podoba ta historia? Jak ustosunkowalibyście się do kwestii winy, którą tu podnoszę? Ja powiedziałbym tak: Gdyby Hebrajczycy nigdy nie dotarli do Drohobycza, nigdy nie miałby miejsca ten bezsensowny, wszystko niszczący pogrom. Logiczne, nieprawdaż?». Potem wyciągnął dłonie i zabębnił krótko, gwałtownie, boleśnie po głowie dyrektora”.

Znowu pukanie – tym razem w zamknięte drzwi suterenu, tym razem o wiele głośniejsze, równocześnie jednak zdecydowanie bardziej sympatyczne i przyjazne dla uszu niż ten idiotyczny, małostkowy hałas, którego narobili przed chwilą jego rozbisurmanieni uczniowie swoimi dzióbkami i pazurkami. Bruno, w dal-

szym ciągu na posterunku na podłodze, teraz na czworakach, z otwartym notesem przed sobą niczym pies z ukochaną kością, wzdrygnął się mimowolnie i próbował wydobyć ze ściśniętego gardła bodaj jedno słowo. Na próżno, zbyt skoncentrowany jak zawsze, kiedy pisał jakąś historię, burknął tylko niewyraźnie.

– Brunio – zawołała zza drzwi jego siostra Hania. – Ktoś do ciebie telefonował. Jesteś tam? Co to za okropny dźwięk?

– Kto telefonował? – odparł z trudem.

– Ktoś ze szkoły.

– Tak późno?

– Dlaczego mnie pytasz?

– Czy to... kobieta, czy mężczyzna?

– Kobieta.

– O ósmej wieczorem?

Hania milczała, a jemu przemknęło przez głowę, że znowu zmyśla. Odkąd przed dziesięciu laty znalazł śmiertelnie chorego Jankeła z poderżniętym gardłem i wyciągniętymi przed siebie kończynami na leżaku w najdalszym kącie ogrodu, jej fantazja rozkwitała niczym ogromna czarna róża w jego *Traktacie*

o manekinach. Dzień po szluzim³ powiedziała mu na przykład, że Jankeł wcale nie umarł, że pochowali nie tego, co trzeba, znajomy Adeli widział go dwa razy w Warszawie. Adela była prawdziwą skarbnicą wiedzy, z której Hania czerpała garściami. Jedną z jej ulubionych historyjek była szczególnie irytująca. Rzekomo, opowiedziała mu kilka miesięcy temu, Adela, odkąd nie mogła dłużej panować nad ich domem i ich duszami, znalazła zatrudnienie na ulicy Stryjskiej i tam często spotykała mężczyznę, który – rzekomo – był zadziwiająco podobny do jej młodszego, strachliwego, hipochondrycznego brata Brunona, w żadnym razie jednak nie mógł to być on, absolutnie wykluczone, ponieważ ów jegomość taksował wzrokiem półnagie dziewczyny jak jakiś huculski handlarz końmi, pił szklankami mocne wino i opowiadał sprośne dowcipy. A to dobre! Dlaczego tak bardzo działała mu na nerwy swoimi

³ Szluzim – z języka hebrajskiego trzydzieści. W tym miejscu oznacza trzydzieści dni od pogrzebu – okres żałoby. Przyp. tłum.

kretyńskimi insynuacjami? Jak na to wpadła? Nigdy nie widział Adeli na ulicy Stryjskiej, Hania całą tę historię wyszła z palca tylko po to, żeby nie czuć się osamotniona w swoim bezrozumnym, wiecznym skonfundowaniu. Chciała widzieć brata pogrążonego w takim samym żalonym stanie, tak dokładnie musiało być, nie inaczej. Kiedy rozmawiali o polityce, znów to samo. Tłumaczył Hani cierpliwie, że apetyt Niemców na Gdańsk i Górny Śląsk nigdy nie będzie większy od ich strachu przed sojusznikami Polski, przed Anglią i Francją, a ona patrzyła na niego jak na szaleńca. Właśnie ona, ta nieszczęśliwa kobieta, której silny wstrząs po samobójczej śmierci męża skradł cały zdrowy rozsądek. Głaskała go po głowie i szeptała, że jak będzie następna wojna, spłonie nie tylko ich dom, że to jest tak samo pewne jak zburzenie drugiej świątyni, i miała nadzieję, że z niej i z niego, i z dzieci, i z Jankela pozostanie trochę więcej niż tylko garstka popiołu i to, co napisał o nich Bruno w obu swoich książkach.

– Haniu, czego chciała ta kobieta? – zapytał Bruno powoli i ze złością, ponieważ chciał



jak najszybciej wrócić do dalszego pisania, i zaraz pomyślał, dobrze, przynajmniej mówienie znów działa jak należy.

– Powiedziała, że nie było cię dzisiaj w szkole i że uczniowie w czasie twojej nieobecności zniszczyli wypchane zwierzęta w sali rysunkowej, a potem wyrzucili je przez okno na wewnętrzny dziedziniec! – krzyknęła Hania zza drzwi wysokim, zwiędłym głosem wdowy. – Dlatego jeszcze dziś masz tam wstąpić i odebrać karę. Jak nie przyjdiesz, jutro może być tylko gorzej. Dobrze ci radzę, idź tam, braciszku, idź, to nie przelewki. – Za drzwiami zapadła cisza, zaraz jednak Hania spytała od niechcienia: – Czy przedtem zjesz z nami, Brunio? Jankel jest do wtorku w Lembergu, a ja nagotowałam tyle kreplach⁴ i mięsa, że wystarczy dla pułku wojska. – Westchnęła. – Wiesz, strasznie mi go brakuje, nawet kiedy wyjeżdża w delegację tylko na jeden dzień lub dwa, tak za nim

⁴ Kreplach – tradycyjne pierogi żydowskie nadziewane farszem z gotowanego mięsa i składane w trójkąty. Przyp. tłum.

tęsknię, jakby już nigdy nie miał wrócić. Jemy o dziewiątej!

„Jak Pan widzi, Wielce Szanowny Panie Tomaszu Mann”, pomyślał Bruno, „Pański sobowtór nie jest jedynym człowiekiem w Drohobyczu, który ma nie po kolei w głowie. U mojej siostry Hani zaczęło się to już bardzo wcześniej, a w jeszcze większym pośpiechu porzucił świat realny mój ojciec i udał się, na długo przed swoją śmiercią, do magicznej krainy po drugiej stronie lustra, w której, jak święcie wierzył, ludzie, zwierzęta i rośliny mogą rozmawiać ze sobą bez słów”. Bruno przesunął na bok, potrząsając głową, czarny notesik, położył ołówek na lodowatej posadzce, a ołówek potoczył się żwawo przed siebie jak wystraszona mysz i znieruchomiał dopiero przy jednej z nóg stołu. „Pielęgnując go”, Bruno zanurzył się we wspomnieniach, nie zauważając nawet, że przestał pisać, „moja kochana i nieżyjąca już matka również odkryła przyjemności i uroki tego naszego rodzinnego odrealnienia. Dla niej ojciec – nawet wówczas, gdy znów był małejki jak niemowlę, leżał w wiklinowym koszu

razem z naszym ulubieńcem, pieskiem Nemrodem, i płacząc, i szepcząc, przytulał się do bezradnego czworonoga – pozostał wielkim winowajcą, który wykorzystywał śmiertelną chorobę, żeby uciec od odpowiedzialności za dom i rodzinę i dlatego rozżalona i wściekła rzucała w niego wcale nierzadko pękiem kluczy albo, w środku modlitwy, swoim sidurem⁵. Od tego czasu, Drogi Panie Mann, dzień w dzień pytałem samego siebie, i zawsze po trzykroć: Czy mama nauczyła się tego od naszej bezwzględnej, bezdusznej i nieobliczalnej strażniczki więziennej Adeli? Czy wiedziała, jak poczyniała sobie często gęsto ta filigranowa jak laleczka, ale w napadzie szału nadludzko silna panna służąca, dawniej w naszym starym domu na rynku w jednym z tych zapomnianych, pustych, zakurzonych pokoików na strychu, gdzie tyle razy, że sam już nie zliczę, pod-

⁵ Sidur, żydowski modlitewnik do użytku synagogalnego i domowego, zawierający wszystkie modlitwy na dni powszednie i zwykle szabaty. Z hebrajskiego dosł. „porządek”. Przyp. tłum.

nosiła na mnie rękę? Sądzę, że nie ma dwóch odpowiedzi na to pytanie. Do dziś mam jeszcze przed oczami proste, wykonane z nieheblowanych desek drzwi jednej z takich izdebek, w której odbywałem akurat małą pogawędkę ze świszczącą miotelką do kurzu naszej drogiej i nieocenionej Adeli, a kiedy z bólu szarpnąłem na bok głowę, w szczelinie uchylonych drzwi dostrzegłem bezradną twarz Arlekina, twarz mamy. Sam Pan teraz widzi, Szanowny Doktorze Mann, jakim domem wariatów jest ten Drohobycz? Tutaj nikt nie myśli i nie zachowuje się, jak powinien! Długo by o tym opowiadać. Moi uczniowie, zamiast rysować i sumiennie rozwiązywać swoje zadania rachunkowe, wolą siedzieć na dachach domów i gruchać, i tłuc dziobami w dachówki, mali wandalie, albo – jak im się znudzi – godzinami krążą wokół ratuszowej wieży. Dyrektor hotelu Hasenmass też nie lepszy. Bez szemrania daje się zaprzęgać do dorożki przez Pańskiego sobowtóra – widziałem to na własne oczy ostatniej soboty, było już dobrze po północy, kiedy wyjrzałem przez okno – i ciągnie mistrza

golusieńki jak go Pan Bóg stworzył, cicho rżąc, od baru do baru. Perelmann, małoletni, melancholijny redaktor naczelny «Wiadomości Drohobycza», pisze codziennie w swojej gazecie, że Żydzi powinni jak wtedy w Hiszpanii, nie zwlekając, wyrzec się swojej wiary – było nie było sprawa jest gardłowa! – a wtedy już niebawem poprowadziliby do boju legiony Torquemady⁶, zamiast być przez nie star-

⁶ Tomas de Torquemada, 1420–1498, hiszpański duchowny, dominikanin, przeor klasztoru w Segowii, w latach 1483–1498 był Generalnym Inkwizytorem Kastylii, Walencji i Aragonii, doradca i spowiednik Izabelli I Katolickiej oraz Ferdynanda II Aragońskiego. Zasłynął jako zwolennik bezkompromisowej walki z „krytojudaizmem” oraz wyeliminowania z Hiszpanii religii żydowskiej. W 1490 roku objął osobistym nadzorem proces przeciwko grupie Żydów oraz żydowskich konwertytów oskarżonych o bluźnierstwa, kradzież hostii i mord rytualny. Wszystkich oskarżonych, pomimo dość słabych dowodów, uznano za winnych i spalono na stosie, a sam proces wykorzystano do antyżydowskiej nagonki, która walnie przyczyniła się do wydania dekretu o wygnaniu Żydów z Hiszpanii w 1492 roku. Torquemada był jednym z inicjatorów tego dekretu. Przyp. tłum.

ci w proch i pył. A doktor Franck, internista, w zeszłym miesiącu zamknął na cztery spusty swój gabinet, teraz cały boży dzień siedzi na jednej i tej samej ławce na dworcu kolejowym i odmawia niestrudzenie kadisz⁷.

A piękna, posępna Helena Jakubowicz? Ona, biedactwo, która zbyt wierz w rozświetlającą mroki potęgę literatury i myśli ludzkiej, cierpi na szczególnie ciężką, chroniczną depresję, która, jak twierdzą dobrze poinformowani, jest skutkiem przesadnej literackiej ambicji i miernego talentu. Nie mam pojęcia, co takiego Helena znajduje akurat w moich opowieściach. Zażywa je, powtarzała to wielokrotnie, jak aspirynę, nie, jak odtrutkę, za pomocą której zwalcza truciznę beznadziejności. A ponieważ tak długo już musi czekać na moją nową książkę, z każdym dniem jej melancholia jeszcze się

⁷ Kadisz – w judaizmie modlitwa będąca składnikiem wszystkich zbiorowych modłów żydowskich, odmawiana też przez mężczyzn przez rok po śmierci bliskiego członka rodziny i w każdą rocznicę jego zgonu. Z hebrajskiego dosłownie „święty”. Przyp. tłum.

pogłębia – stąd jej permanentna, chorobliwa, dzika i kompletnie nielogiczna wściekłość na mnie, uległego kozła ofiarnego, wściekłość, która zawsze, kiedy nie powstrzymuję Heleny, daje mi pociechę i tę błogą, kojącą świadomość, że dzieciństwo, białe jak kwiecie lub krwistoczerwone, na szczęście nigdy nie przemija. Doprawdy wielka szkoda, że nigdy nie pozna Pan Heleny, Panie Mann. Jakaż subtelna, urocza, przemiła kobieta – doprawdy zachwycająca – ukrywa się w rzeczywistości za tym obrzydliwym małym meszkiem porastającym jej twarz! I cóż by to było za święto, gdyby wreszcie porządnie się umyła i uczesała – już widzę te jasne loczki i fale! – gdyby pozbyła się raz na zawsze lepkich, cuchnących trocin z włosów i tej zgrzebnej, wybitnie niekobiecej garderoby, gdyby poszła do pedikiurzystki, dała sobie zrobić pąsowe paznokietki i włożyła śliczny, dopasowany, francuski kostiumik! Wtedy, tak wtedy, być może już nigdy nie miałbym grzesznych myśli, których jest bohaterką, nigdy nie czułbym tego rozkosznego dresz-

czyku wzdłuż kręgosłupa, nie drżałbym tak lubieżnie, kiedy jest przy mnie, tego właśnie się obawiam. Sam Pan widzi, człowiek jest niejako skazany na obłąd, kiedy zbyt długo mieszka w naszym wesołym miasteczku”.

– Nie jestem głodny, Haniu – powiedział Bruno, jakby budząc się z głębokiego snu, powoli i niewyraźnie. Znowu to okropne burknięcie, tym razem jednak go nie przeraziło, chociaż zaraz przyszło mu do głowy, że trzeba by zrobić porządek z tym niezdyscyplinowanym gardłem. – Popracuję jeszcze trochę, a później przejdę się do gimnazjum, zobaczymy, czego tam ode mnie chcą. Nie czekajcie na mnie z kolacją.

Próbował wstać, możliwie jak najciszej, żeby jakiś niepotrzebny szmer, szmerek nawet, nie skłonił jej do dalszego gadania, ale poszła już na górę, ponieważ usłyszał, jak swoim zwyczajem ciska się po kuchni, wystukując wściekłego marsza na garnkach, talerzach i piecu kuchennym. Wstawanie z początku szło mu nie najgorzej. Bruno podniósł górną część ciała i przez chwilę utrzymywał

równowagę, bez potrzeby podpierania się rękami na zimnej kamiennej posadzce – kiedy jednak chciał stanąć na nogi, zachwiał się lekko i natychmiast musiał znów przykłąknąć. Trwał tak nieporuszony w jednej pozycji przez kilka minut, nie posiadając się ze zdumienia, bezgranicznie stropiony faktem, że właśnie dziś stracił umiejętność stania prosto i chodzenia. Od wielu lat przeczuwał, że to się stanie, że to po prostu m u s i się kiedyś stać, ale przecież jeszcze nie teraz, lecz dopiero o wiele później – w nieskończenie dalekiej przyszłości, która będzie zaludniona przez ogromne gekony, żmije i prehistoryczne ptaki, które zjadały swoje ogony, z armiami ludzi spowitych w szarość, których długie, bezładne kolumny sięgałyby aż po horyzont, z milionami nagich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy sunęliby z mozołem do przodu już tylko na czworakach. I wszędzie, w całym kraju płonęłyby ognie, wielkie i małe, a ten, który mógłby jeszcze coś rozpoznać wśród gęstego dymu i bijących w niebo płomieni, modliłby się do Boga, żeby

straszna niewidzialna ręka nie powaliła go na kolana i nie zapędziła w ten ogień piekielny.

– Panie profesorze! Panie profesorze! Niech się pan nie boi, będziemy panu towarzyszyć i przeprowadzimy pana bezpiecznie przez miasto do gimnazjum! Pani Jakubowicz wcale się na pana nie gniewa tak bardzo, jak pan myśli, rozmawialiśmy już z nią o panu. A nam od razu wybaczyla.

Czy tylko mu się to przyśniło, czy też jego uczniowie naprawdę zawołali do niego z dworu, chórem – piszcząco, cykającą, dźwięcznie jak szklane dzwoneczki – przez nagle do połowy otwarty – jak to się stało? – cicho klekoczący na wietrze świetlik? Bruno, wciąż przycupnięty na posadzce, z głową wspartą na wyświechtanym, brązowym siedzeniu, udawał, że niczego nie słyszy. Od dłuższego czasu, przyczajony jak kot, śledził spod przymkniętych powiek ołówkę, który beczelnie mu zwał. Wstrzymał oddech – i pospiesznie go capnął, zacisnąwszy palce na swojej zdobyczy. A mam cię!

„Odnoszę wrażenie”, pisał znów w otwartym notesie, przyciskając go łokciem do wy-

suniętej do połowy szuflady biurka, „jakby ludzie w Drohobyczu tylko czekali na to, że ktoś taki jak fałszywy noblista przybędzie do miasta, żeby jeszcze bardziej namącić im w głowach, Wielce Szanowny Doktorze Mann. Cóż, w pewnym sensie jest to naturalna kolej rzeczy. Zbyt długo już żyją w izolacji, bez kontaktu ze światem, prowincjonalna egzystencja sprawia, że stali się bojaźliwi, niespełna rozumu i nadzwyczaj ciekawi. Jednodniową wycieczkę do Stryja planują z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, a zanim któryś z nich pojedzie do stolicy, reguluje u notariusza rejenta Reynisza swoje interesy. Musi Pan kiedyś sam ich zobaczyć! Niemal wszyscy bez wyjątku mają piękne, blade, miłe twarze, za którymi albo nie ukrywają zupełnie niczego, albo tęsknotę za wiecznymi, jasnymi nocami i ból, ten dojmujący ból, którego dokładniejszy opis znaleźć można już tylko w podręcznikach do historii. Wiem...”, zawahał się przez ułamek sekundy, potem jednak znów pisał szybko, „o czym mówię, ponieważ ja sam też nie jestem inny, bynajmniej.

Studiowałem w Wiedniu i w Lembergu, a mimo to wróciłem na stare śmieci. Miałem narzeczoną, której imienia często nie mogę – i nawet nie chcę – sobie przypomnieć, rzuciła mnie, ponieważ całymi latami przysięgałem, że przeprowadzę się do niej do Warszawy, choć w rzeczywistości nigdy nie myślałem o tym serio. A kiedy w zeszłym miesiącu uhonorowano mnie Złotym Laurem Akademii Literatury, położyłem się do łóżka na wiele dni i płakałem jak dziecko, zamiast się cieszyć. I tak ostatnio również ja, Wielce Szanowny Doktorze Mann, który uważam się za człowieka w miarę rozsądnego, dałem się omamić Pańskiemu sobowtórowi jak inni naiwni w naszym mieście. W ostatnią sobotę, kiedy ten, ciągnięty przez dyrektora Hasenmassa, jechał w dorożce ulicą Floriańską, nie tylko wyjrzałem na chwilę przez okno, by zaraz potem usiąść przy biurku i dalej pracować. O nie, nic z tych rzeczy! Zerwałem się z krzesła, skierowałem do wyjścia, jakbym był nakręcaną zabawką, i zanim jeszcze dotarłem do drzwi, ściągnąłem z siebie całe

ubranie, by sekundę później pognać na ulicę, a kiedy wreszcie dopędziłem zziąjany dorożkę, w której Pańskie szydercze lustrzane odbicie, ten farbowany lis, siedziało sztywno, jakby kij polknęło, nadęte i skrzywione jak niemiecki profesor, w pełnym biegu wrzuciłem na grzbiet chomąto, przytrzymałem zębami wędzidło i tak klusowaliśmy razem aż do hotelu «Pod chwiejącą się piramidą» w rynku. Przybywszy na miejsce, skierowaliśmy się truchtem – oczywiście już bez dorożki, ale wciąż w kompletnej uprzęży – do łazienki dyrektora, w której mistrz rozgościł się od swojego przybycia do Drohobycza. W tej łazience, a raczej pokoju kąpielowym – jest prawie tak wielki jak aula w gimnazjum Jagielly, mam nadzieję, iż w Pańskim nowym domu w Zurychu są podobne pomieszczenia – nie było żadnych umywalk, żadnej toalety, żadnej wanny, tylko kilka pryszniców osadzonych w gołym, betonowym suficie, dwie ławki i długi pręt z hakami na ubrania. Najwyraźniej fałszywy noblista zaraz po zainstalowaniu się tutaj po-

lecił usunąć wszystkie te zbędne, w jego mniemaniu, akcesoria, żeby mieć więcej miejsca dla tłumu swoich gości. Tej nocy byli tam: pani Hasenmass, piekarz Lisowski, jego żona i trzech synów, Adela, prawie wszyscy moi uczniowie, pan Perelmann i Helena Jakubowicz, Jankel, zmarły mąż mojej siostry, notariusz Reynisz i mój przyjaciel, a zarazem kolega po fachu Czarski, redaktor naczelny «Tygodnika Ilustrowanego», od dłuższego już czasu przebywający w Drohobyczu i żywiący nadzieję, że w końcu namówi mnie na opublikowanie fragmentu mojej powieści w swoim czasopiśmie. Mrzonka, ale na razie mu tego nie powiem, za bardzo go lubię. Później dołączył do nas jeszcze jakiś mężczyzna, którego nie znałem, Amerykanin, połowę twarzy miał ukrytą pod lśniąca metalową maską, domyśliłem się, że musi to być ów tajemniczy mister Katanauskas. Wszyscy zebrani” – Bruno podniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się z uwagą w duży rysunek na ścianie na prawo od drzwi, na którym gromada nagich, cherlawych samców kłęczała przed dorodną

młodą kobietą w pantofelkach na wysokich obcasach i w podartej sukni balowej, patyczkowaci mężczyźni pożerali wzrokiem tę boginię, szeroko rozwarte oczy płonęły pożądaniem, ale było w nich jeszcze coś, jakaś masochistyczna uległość – i rozpacz – jakby dusili się powoli zac zadzeni niewidzialnym opiatem – „wszyscy zebrani, idąc za moim i dyrektora Hasenmassa przykładem, rozebrali się do naga. Powiesili swoje ubrania na hakach, siedzieli na obu ławkach, jedni w nabożnym skupieniu, drudzy przesadnie cicho ze sobą rozmawiając, i czekali. Kiedy razem z mistrzem i dyrektorem wmaszerowaliśmy do środka, podnieśli się niemal równocześnie, zakryli dłońmi nagie piersi i genitalia, a wszystkie rozmowy, nawet ta najcichsza, umilkły, jak nożem uciął. Falszywy Tomasz Mann zachowywał się początkowo tak, jakby mu to wysoce niestosowne, stanowczo zbyt intymne – jeśli tak to można ująć – i zwyczajnie nachalne zachowanie jego gości sprawiało przykrość. Kręcił głową z dezaprobatą, cmokał i wzdychał. Natychmiast podniósł



ręce jak tarczę w obronnym geście, kiedy nagle poruszyli się ociężałe i zaczęli ku niemu sunąć niczym budzące się do życia w ciepłym piasku, niemrawe jeszcze młode żółwie, które zmierzają do morza niespiesznie, po żółwiemu, ale skoncentrowane na celu. Podkręcał nerwowo wąsy, chrząkał raz po raz, potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej obszarpanej, krzywo zapiętej tweedowej marynarki, wyjął z niej wypalone do połowy cygaro i drżącymi rękami próbował je zapalić, co udało mu się dopiero za trzecim lub czwartym podejściem. «Jak się macie, przyjaciele?», zaczął niepewnym głosem, a wydmuchnięty przez niego dym cygara zmieszał się z intensywnym, przesiąkniętym zgnilizną nieświeżym oddechem. «Cieszę się, że znów was widzę. Niestety to nasze ostatnie spotkanie, tak się składa, że już jutro...» – uśmiechnął się przepraszająco i nagle wypalił jak z karabinu maszynowego: «wracam do Zurychu po moją żonę i dzieci. Potem wsiadamy w pociąg do Marsylii, a stamtąd udamy się statkiem do Nowego Jorku. Mam już na widoku bardzo

ładną willę w Princeton, sądzę, że będę mógł nawet zapłacić za nią gotówką. Moja zaliczka za ostatnią część tetralogii o losach Józefa⁸ okazała się wyższa, niż się spodziewałem. Doprawdy tak mi przykro, że muszę zostawić was tutaj samych, wiem, wiem, czasy są nieciekawe i nie zanosì się, niestety, na poprawę, a gwarancje aliantów, co najlepiej widać na przykładzie biednych Czechów i Słowaków, warte są funta kłaków. Ale drogi mister Katanuskas dotrzymał obietnicy i wreszcie możemy ruszać za ocean. Byłbym skończonym idiotą, nie korzystając z takiej okazji, chyba się ze mną zgodzicie?». Wszyscy – jak jeden mąż – zrobili wielki krok w jego kierunku,

⁸ *Józef i jego bracia* – monumentalna tetralogia, którą Tomasz Mann pisał przez 16 lat i uważał za swoje największe osiągnięcie. Jest to fabularyzowana rekonstrukcja motywów biblijnych wywiedzionych z księgi Genesis, zwłaszcza tych dotyczących Józefa. Napisana wspaniałym, kwiecistym językiem, bogata w filozoficzne refleksje, niekończące się dygresje, a także niewolna od ironii i dowcipu. W skład tetralogii wchodzi: *Historie Jakubowe* (1933), *Młody Józef* (1934), *Józef w Egipcie* (1936), *Józef Żywiciel* (1943). Przyp. tłum.

potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, mrużąc cicho «biada nam, biada» i «błagamy, tylko nie to», i już pierwsze ręce niczym węże boa zaczęły owijać się wokół jego szyi i rąk. «To nie moja wina, wiercie mi, drodzy przyjaciele», zaklinał się mistrz, «niechże państwo przestaną, na litość boską, do czego to podobne?!». Tymczasem łazienka dyrektora Hasenmassa wypełniła się metalicznie błękitnymi kłębam dymu, i już tylko z trudem można było rozpoznać, czyja ręka ciągnie za zaczesa-
ne do tyłu brylantyną włosy rzekomego Tomasza Manna, a kto usiłuje właśnie rozpiąć mu guziki koszuli. „Dość tego! A cóż to za zbiorowa histeria, wypraszam sobie!», krzyknął znów. Potem, kiedy werbalne przywołanie do porządku jego zrozpaczonych wielbicieli nie pomogło, jakby z nicości wyciągnął bat, którego – trzeba mu oddać sprawiedliwość – ani razu nie użył podczas naszego harmonijnego biegu przez śpiący Drohobycz, i zaczął dzielnie odpierać atakujących go ze wszystkich stron gołasów krótkimi, dotkliwymi smagnięciami. A masz, a masz! Stałem

jak rażony piorunem obok tej dygocącej, wzdychającej, stale rosnącej i opadającej piramidy ludzkiej – w oczekiwaniu na cios, nie doczekałem się, ot, niedopatrznie. Bił równo mężczyzn i kobiety, a później nawet dzieci, i jeśli początkowo można było jeszcze dostrzec ślady niechęci przemieszanej z odrazą na jego pociągłej, despotycznej twarzy oszusta, która wciąż na nowo wylaniała się z zasłony dymnej, wydawało się, że stopniowo ta chłosta, te przepychanki, jęki i zlorzeczenia zaczynają sprawiać mu przyjemność. Najwyraźniej dobrze się bawił. «Czy to moja wina, że przyzwoity człowiek jak ja musi wiać z Europy, nie będąc pewnym jutrzejszego dnia? A wam radzę zrobić to samo, póki jeszcze jest na to czas. Wszyscy siedzimy na beczcze prochu!», zakomunikował zduszonym głosem i trzonkiem bata dzielił płaczącego rzewnie redaktora naczelnego Perelmanna w nos. «Myślicie, że mi tutaj tak dobrze? O ludzka naiwności, dalbym wszystko, żeby być teraz w Monachium, w swoim domu i na Briennerstrasse pogapić się na tych rozkosznych ma-

łych chłoptasiów, zamiast brodzić w bagnach Galicji!»), warknęła, okładając zadek wzdychającej Adeli. Potem wziął w obroty kompletnie oniemiałego z wrażenia piekarza Lisowskiego, który i tak zresztą nigdy nie był szczególnie błyskotliwy, a swoją ostatnią wielką mowę – trzy albo cztery od biedy trzymające się kupy zdania – wygłosił niechybnie dawno temu na swojej bar micwie⁹. Śmiejąc się jak potępieniec, smagał batem wielkie, opasłe brzuszysko piekarza, i powlekając je szkarłatnymi pręgami, ryczał: «Przecież to wy razem z bandytami w Berlinie jesteście winni temu, że wszystko schodzi na psy, wszystko nikczemnieje i zmierza ku przepaści, Niemcy, Europa, cały świat! Wy powiedzieliście zaraz na początku, że człowiek jest sam i dlatego teraz co drugi dureń na tej ziemi odgrywa Boga!». Tak, Wielce Szanowny Doktorze

⁹ Bar micwa, w judaizmie: rodzaj konfirmacji, przyjęcie chłopca w dzień jego trzynastych urodzin do społeczności religijnej dorosłych. Z hebrajskiego dosłownie „syn nakazów bożych”. Przyp. tłum.

Mann, nie oszczędził nawet mister Katanaukska” – na twarzy Brunona pojawił się ten sam apatyczny uśmiech, którym jego uczniowie ozdabiali czasem swoje latawce nad kamieniołomem Koszmarzsko. Nawet jemu nie przepuścił. Nieszczęśnik właśnie wykrzykiwał swoim wytwornym jidysz rodem z Wilna, że chciałby, ajajaj, jak bardzo chciałby zabrać się razem z nim do Nowego Jorku, że jeden pogrom w życiu w zupełności wystarczy, a on jako amerykański konsul honorowy ma te same prawa co ci, którym pomógł, że... – chciał jeszcze coś dodać, nie zdążył, ponieważ w tej samej chwili Pański sobowtór wymierzył mu celny cios w podbrzusze, który z miejsca powalił go na ziemię, i na dokładkę poczęstował kopniakiem w metalową maskę. Maską nie wytrzymała konfrontacji z ciężkim buciorem, spadła z brzękiem na posadzkę, gdzie tańczyła jak szalona, by po chwili zniechęcić, i teraz zobaczono, o ile było to możliwe w kołyszającej się mgle, do połowy poparzoną twarz z jednym ciemnym, pustym oczodołem. Następna w kolejce była biedna,

jak zwykle nieuczesa Helena, a zaraz po niej moi uczniowie, którzy w pewnym momencie zamiast trzepotać skrzydłami pod betonowym sufitem łazienki Hasenmassa, głośno piszcząc i lamentując, solidarnie pospieszili na ratunek swojej ciężko dyszącej i obolalej nauczycielce, usiedli wokół niej z szeroko rozpostartymi skrzydłami i nie spuszczała z niej wzroku. Muszę przyznać, że ten widok naprawdę mnie rozrzewnił. Stopniowo jednak razy Niemca tracili impet, aryjski żywioł gasł w oczach, coraz słabszy był też jego tubalny głos rasowego Aryjczyka, w srebrnej chmurze dymu uformowały się na chwilę migocące kontury smutnej dziecięcej twarzy podporucznika Alfreda Dreyfusa, z francuskiego oficera zrobiła się płacząca i brocząca krwią Jagienka Łomska, potem zobaczyłem samego siebie w gęstym welonie dymu i w końcu chmura zakręciła się dookoła, potem jeszcze raz, wreszcie skurczyła się i podniosła do sufitu, gdzie z głośnym sykiem znikła w dyszach pryszniców – i wtedy moim oczom ukazał się dramatycznie wielki stos

nagich ciał, które leżały pokotem, sponiewierane i jęczące, a pośród nich sterczał jak skała, a ściśle mówiąc, klęczał poblądły ze zmęczenia fałszywy Tomasz Mann. «Ja też!», krzyknąłem bez tchu w ten wielki apokaliptyczny chaos i przystąpiłem do niego z nadzieją w sercu. «Ja też chcę! Jak wszyscy, to wszyscy!». Ale on, zajęty wycieraniem strzyżek potu ciekących mu po szyi i czole sztywną od brudu, jedwabną chustką, odparł przyjaźnie: «Pan nie, pan będzie jeszcze potrzebny. Musi pan przecież napisać swoją powieść. Jaki będzie tytuł? Mesjasz, zgadza się? No, to bierz się pan do roboty, a kiedy już pan wreszcie skończy, przyjdą bandyci z Berlina do pańskiej mieściny i spalą pana razem z pańskim kapitalnym rękopisem. Cóż, sam pan sobie winien». Zaśmiał się ochryple. «Cudownie, pierwszorzędny materiał, jak babcję kocham! Ale kto napisze o tym powieść, jeśli pan będzie już wachał kwiatki od spodu, Żydzie Schulz?».

„Scena finałowa jest dość ryzykowna. Chyba przesadziłem ciut, ciut...”, zastano-

wił się Bruno, czytając ostatnie strony swojego listu do sławnego i wpływowego kolegi z Zurychu. „Czy uwierzy w całą tę zwariowaną historię? Czy wstawi się za mną? Czy aby nie pomyśli, że tylko mydlę mu oczy, a swoje i tak wiem? Bo w rzeczywistości nie ma żadnego sobowtóra, jest tylko jeden jedyny i niepodrabiany prawdziwy Tomasz Mann, który właśnie bawi na gościnnych występach w Drohobyczu...”. Nagle znów poczuł strach, który dał mu spokój na godzinę, dwie, a szara, ciepła klucha wierciła się jak szalona w jego brzuchu. Równocześnie czarny, teraz prawie niewidoczny sufit sutereny zadrżał wstrząsany eksplozją dudniących kroków Hani, która uwijała się w kuchni. Bruno zmartwiał na myśl, że jego siostra może zaraz przebić na wylot kuchenną podłogę swoimi wysokimi, spiczastymi obcasami i nadziać jego głowę jak krepłach na widelec. Hania – biedna, nieznośna Hania – ostatnio nosiła również w domu swoje drogie francuskie pantofelki, tak samo jak szyfonową suknię od Lunarskiego & Klei-

na z Warszawy, i miała ku temu dobre powody. Spodziewała się, że jej zmarły mąż Jankel może wrócić w każdej chwili i chciała być dla niego zawsze piękna. A ponieważ prawie nigdy nie zdejmowała sukni, nawet kiedy stała przy garnkach, tak jak teraz z pewnością, jej warszawska kreacja była od góry do dołu pokryta czerwonymi plamami barszczu i żółtymi, zaschniętymi bryzgami ciasta, a cudowne białe bufki przypominały sito, strasząc tuzinami powypalanych dziur. Hania nie była jedynym kłębkim nerwów w domu. Także jej dwaj synowie z tygodnia na tydzień robili się coraz bardziej niespokojni i zaniedbani, aż przykro było patrzeć, i dziczeli jak niepielęgnowany ogród. Mie-li podarte spodnie i koszule oraz ciemnoczerwone, prawie czarne strupy na gołych kolanach, dawno niemyte włosy przystrzygali sobie nawzajem kuchennymi nożycami, krzywo i niedokładnie, jak nie przymierzając włóczędzy, a w szkole Bruno nie widział ich od miesięcy. Kiedy matka pytała ich o coś, albo w ogóle nie odpowiadali, albo grozili

jej ze złym błyskiem w oku, że wyrzucą ją z domu, dlatego przeważnie milczała w ich obecności. Swojego wujka wszakże Jacek i Chaimele zostawiali w spokoju. Tylko czasem, kiedy leżał w salonie na starej, wytartej do niemożliwości kanapie taty w stylu biedermeier, która zamiast zwykłych nóg miała ogromne sępie stopy i także szpony, i poruszając bezgłośnie wargami, czytał książkę lub rysował, rozmawiali nad nim szeptem.

– Kto się będzie nami zajmował, kiedy przyjdą Rosjanie albo Niemcy? – powiedział kilka dni temu Jacek do Chamaile.

A Chamaile odrzekł z chichotem:

– Wujek Bruno, przecież to jasne, no nie? Razem z kurwami z ulicy Stryjskiej i jego warszawskimi przyjaciółmi pisarzami będzie już wiedział, co trzeba zrobić.

Na co Bruno, przestraszony, gwizdnął cicho i dał sofie klapsa, po czym chwycił ją za sępią nogę i natychmiast wyniósł się z salonu do biblioteki, gdzie zawsze mógł liczyć na jakiś spokojny kąt.

Tymczasem w suterenie zaanektowanej przez Brunona na pracownię było tak ciemno, że z niemalym trudem mógł odcyfrować własne pismo. Nikłe, pomarańczowe, fantastyczne światło latarń ulicznych, które właśnie zapaliły się na ulicy Floriańskiej, zgubiło się w połowie drogi między otwartą okiennicą a jego sztalugami, których od lat używał do wieszania płaszcza i kapelusza, i niekiedy wyobrażał sobie, że sam na nich wisi. Wstał szybko, przesunął dłonią po czole, ziewnął – i znów wcisnął się za niskie biurko, po czym pstryknął piękną, zimną, niemiecką lampę, której czarny metalowy abażur nawet po latach błyszczał jak wyglancowany kawalkiem słoniny but kawalerzysty. Dopiero gdy znów siedział na starym, skrzypiącym krześle taty z jego dawnego kantoru, nie bez zdziwienia skonstatował, że nie kuli się już na podłodze jak jedna z tych słabych, bezwolnych istot z własnych snów na jawie, tylko gryzmołi w swoim notesie, rysując owadom podobne delikatne fioletowe kreski, kółka i haczyki, które na końcu, kto to wie, może nawet

odsłonią przed nim jakiś głębszy sens. Ale strach wciąż go nie opuszczał, szeptać do ucha: Musisz przejść do sedna, wiesz, ile listów dostaje każdego dnia ten twój szacowny adresat? Tak, wiem, odparł Bruno, ale czy naprawdę uważasz, że już teraz powinienem odkryć wszystkie karty i mu napisać, do czego właściwie jest mi potrzebny? Tak, czemu nie, odparł zuchowato strach, wäl prosto z mostu, to najlepsza taktyka, a zresztą rób, co chcesz, słaby ze mnie doradca, przecież jestem strachem. Może jednak trochę się zagalopowałem?, dał mu pod rozwagę Bruno, chodzi mi o to, że sam fakt, iż ktoś podaje się za sławnego pisarza, jest na wskroś możliwy, szkopuł jednak w tym, że ten ktoś zachowuje się całkowicie irracjonalnie. Jak bowiem wytłumaczyć, że jest tak nieprawdopodobnie grubiański, brutalny i arogancki właśnie dla tych, którzy czczą go jak Boga, przecież to się kupy nie trzyma, nie sądzisz, przyjacielu? Znasz historię mieszkańców Sichem, powiedział strach, wiesz, jak się im wiodło, po tym jak okrzyknęli Abimeleka władcą



Filistynów? Dość pobieżnie, odparł Bruno, opowiesz mi ją? Może później, obiecał strach, nie skończyłeś jeszcze swojego listu.

„Przedwczoraj, Drogi Doktorze Mann”, pisał więc szybko Bruno w blasku niemieckiej lampy, ściskając kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki pulsujące boleśnie skronie, „odwiedził mnie w szkole doktor Franck. Pamięta pan, wspominałem już o nim wcześniej. To nasz miejscowy internista, który postanowił zerwać z dotychczasowym stylem życia, ponieważ nie zamierza dłużej podporządkowywać się regułom rzeczywistości. Na ogół siedzi na dworcu i rozmawia sam ze sobą albo odmawia głośno modlitwy i bracha¹⁰, wszystko bez ładu i składu, zwykły bełkot, właśnie on, ateista i jeden z pierwszych syjonistów w naszym mieście. Doktor Franck zapukał do drzwi tak cicho, iż niemal bezgłośnie, potem wszedł na

¹⁰ Bracha – błogosławieństwo, które odmawia się m.in. przed posiłkiem, wykonaniem micwy, ale też jako podziękowanie dla Boga. Przep. tłum.

palcach do sali rysunkowej i poprosił mnie szeptem, żebym z nim wyszedł na korytarz. Sprawa wielkiej wagi, wyjaśnił, potrząsając głową. Chłopcy z miejsca podnieśli larum i w ogóle nie chcieli mnie puścić. I nie bez kozery, zawsze gdy zostają sami w klasie, zaraz wstępuje w nich jakiś zły duch, rozumie Pan, biorą się za lby, tarmoszą, kopią, plują i gryzą, można by pomyśleć, że roznosi ich rozbuchana młodość, ale to najprawdziwsza wojna z użyciem wszelkich możliwych chwytów i strategii. Kiedy więc zaczęli jeden przez drugiego mnie błagać i upraszać, i ciągnąć ostrymi dzióbkami moją marynarkę, doktor Franck nieoczekiwanie postanowił interweniować. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył – odkąd zamknął swój gabinet, nigdy nie widziałem go takim przytomnym i stanowczym – zmarszczył groźnie czoło, położył na ustach palec wskazujący i zrobił długie i ciche «Pssst!». W jednej chwili chłopcy ucichli i odrzucili z powrotem na swoje miejsca, niektórzy dalej rysowali, a inni ukryli głowy pod skrzydłami i zasnęli”.

Bruno przestał masować skronie, zbliżył twarz do notesu i strzepnął kilka maleńkich szarych i białych piórek, które powoli opadły na papier. Wzleciały, razem z wirami powietrza, który powstał, zamiast opaść na posadzkę, i tańczyły wesoło przed jego płaskim nosem latawca. Bruno przyglądał się im z uśmiechem i raz po raz na nie dmuchał, zapominając na minutę, dwie o swoim liście, a kiedy wreszcie sobie o nim przypomniał, czym prędzej opuścił głowę i napisał: „Zaledwie drzwi klasy zamknęły się za nami, doktor Franck omiółł wzrokiem korytarz i natychmiast przystąpił do wyluszczenia sprawy, z którą przyszedł, dziwnie podekscytowany i z wypiekami na twarzy. Chodziło o Pańskiego sobowtóra, Doktorze Mann. Oczywiście po swoim nocnym występie w łazience dyrektora Hasenmanna wcale nie wyjechał z Drohobycza, ale to akurat było do przewidzenia. Przecież ten blazen jeszcze nigdy nie zrobił tego, co zapowiadał wszem i wobec. Wyjaśnił, że jego żona zachorowała w Zurychu, fatalna sprawa, a poza tym musi

czekać na resztę swojej biblioteki, która od tygodni utknęła w urzędzie celnym na granicy nieopodal Bazylei w wagonie Niemieckich Kolei Państwowych. Wobec zaistniałej sytuacji – człowiek zawsze musi się liczyć ze zmianą planu – postanowił z pożytkiem wykorzystać dany mu czas, zostać dłużej w naszym mieście i popracować w spokoju przed swoją wielką podróżą do Ameryki. Dwa dni później zaprosił nas na wieczór autorski, jak się wyraził, do apteki w rynku – stał na kontuarze, a my – pomimo głośnych protestów aptekarza Hulcinera rozsiedliśmy się wygodnie w szufladkach i na półkach, których jest tam bez liku. Bohater wieczoru zapowiedział uroczystym głosem, że chce nam zaprezentować absolutnie świeżutki tekst. Rzekomo miały to być pierwsze strony kontynuacji jego opowieści łotrzykowskiej o hochsztaplerze Feliksie Krullu¹¹, ale coś takiego mógłby każdy powiedzieć. Za-

¹¹ Chodzi o *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla* Tomasza Manna, wydanie polskie 1958. Przep. tłum.

mieniliśmy się w słuch. Sama fabuła, przyznaję, była całkiem zręcznie skonstruowana i wciągająca – Krull postanawia wybrać się do cyrku, poznaje piękną, bogatą Angielkę, której nie kocha i tak dalej, i tak dalej – ale zdania, mój Boże, tak pospolite i pretensjonalne, zniweczyły cały efekt. Najpóźniej tego wieczoru prysła ostatnia bańka mydlana, łuski spadły mi z oczu z wielkim brzdękiem i już wiedziałem, wiedziałem z porażającą jasnością, że on, ten przeklęty hochszta-pler, nie jest Panem, że nie może, po prostu nie może być prawdziwym Tomaszem Mannem, również ze względu na kompromitujący ubiór, w którym wystąpił – krwistoczerwony perski chałat, związany luźno w pasie poszarpanym sznurem do firanek, spod którego wyzierała naga pierś, a niżej – o bezwstydzie! – widać było jak na dłoni lichą, drgającą konwulsyjnie żmijkę między jego owłosionymi udami goryla. I oto teraz, jakby mało było jeszcze wszystkich tych rewelacji, w korytarzu gimnazjum Jagielly stał przede mną wzburzony doktor Franck i re-

lacionował mi z twardym stanowczym spojrzeniem, ale drżącymi wargami, co widział i słyszał kilka godzin wcześniej. Tego ranka rzekomy Tomasz Mann – zazwyczaj gładko zaczesane włosy dziś wyglądały jak stóg siana, do tego róż na policzkach, cienki wąsik zgolony i namalowany pastą do butów – siedział w kafeterii dworcowej w niszy tuż obok niego i cicho rozmawiał po niemiecku z kimś, kogo doktor Franck nie znał. Ten drugi miał wysoki i przenikliwy, ale sympatyczny głos”, Bruno odłożył na bok ołówek, zamknął oczy i pomyślał o pewnym niemieckim aktorze filmowym, którego faryzeuszowską, chępliwą minę Maxa i Moritza¹² widzowie w drohobyckim kinie Pałac za każdym razem komentowali głośnie gwizdami – „i miłą, swojską twarz zaprzyjaźnionego sąsiada, któremu przed podróżą

¹² Max i Moritz, dwóch sympatycznych urwisów, bohaterowie niegdyś bardzo popularnych satyrycznych wierszowanych opowiadań kreskowych. Ich twórcą był Wilhelm Bush 1832–1908, uważany za praojca komiksu. Przyp. tłum.

powierzamy klucze do własnego mieszkania. Rozmawiali ze sobą tak cicho, że doktor Franck początkowo nic z tego nie rozumiał. Kilka razy padło słowo «poruszenie», również nazwisko sowieckiego ministra spraw zagranicznych Mołotowa pojawiło się w ich rozmowie. Potem fałszywy Tomasz Mann podniósł głos, i wyraźnie podekscytowany zaczął, wyliczać temu drugiemu w długim, czarnym, błyszczącym skórzanym płaszczu, którego nie zdjął nawet w kafeterii i który trzeszczał okropnie przy każdym jego ruchu, nie zgadnie Pan, Panie Doktorze! – ni mniej, ni więcej tylko nazwiska wszystkich Żydów mieszkających w Drohobyczu. Obaj panowie raz po raz wybuchali gromkim śmiechem – zwłaszcza przy nazwiskach, które coś znaczą po niemiecku: Gottesdiener «sługa Boży», Katzenellbogen «łokieć kota», Wahrhaftig «zaprawdę», Hasenmass «zajęcza miara», a w końcu ten drugi wydusił, trzymając się za brzuch, że już dość, wystarczy, że on już naprawdę nie może, bo za chwilę się posika, dawno tak się nie ubawił – i zmienia-

jąc w jednej chwili ton, poprosił rzeczowo fałszywego Tomasza Manna, żeby ten zajął się czymś konkretnym i sporządził mu na piśmie listę wszystkich Żydów w mieście, z ich adresami, krótką oceną ich kondycji fizycznej i sytuacji finansowej” – małe szare i białe piórka znów opadły na notes, Bruno czuł nad sobą nawet dość przyjemny, ciepło-zimny powiew wiatru i słyszał ciche dreptanie ptasich stópek, które zbliżały się do niego ze wszystkich stron. – „W pewnym momencie doktor Franck, który drżał już jak osika, ponieważ rozmowa tych dwóch typów z minuty na minutę napawała go coraz większą grozą, zamknął oczy i zaczął odmawiać od nowa swoją modlitwę schachrit¹³ – już po raz ósmy albo dziesiąty tego ranka. Ale potem zwyciężyła ciekawość, wychylił się zza drewnianego przepierzenia dzielącego ich

¹³ Schachrit/szachrit – w judaizmie codzienne modlitwy poranne odpowiadające porannej ofierze składanej w Świątyni Jerozolimskiej. Według tradycji ustanowił je Abraham. Przep. tłum.

stoliki i dyskretnie zerkał na obu Niemców. Nie dość jednak dyskretnie, jak się okazało. Jego spojrzenie natychmiast pochwylił bystrooki mężczyzna w skórzanym płaszczu. Skinął głową doktorowi Franckowi, nie będąc wcale zaskoczony jego zainteresowaniem, wycelował w niego palec wskazujący jak komisarz na plakacie Armii Czerwonej i powiedział: „Lubię wasze modlitwy, a już szczególnie piękna jest Szema Izrael. Czegoś jednak będzie brakowało, mój dobry człowieku, gdy nie będzie już nikogo, kto potrafi je recytować. Teraz rozumie Pan chyba, doktorze Mann, dlaczego piszę do Pana ten list?”.

Bruno zerwał się z miejsca wzburzony, raz, dwa, trzy razy okrążył biurko, a kiedy znowu usiadł, zauważył, że na lampie przycupnęły dwa małe gołębie, biały i szary, przypatrywały mu się w milczeniu, a u góry na podokienniku siedziało jeszcze więcej gołębi i obok jego krzesła także, on jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na tę nagłą plagę gołębi w jego suterenie. „Razem

z doktorem Franckiem”, pisał dalej, coraz bardziej roztrzęsiony, co rusz przerywając w pół zdania, „nie mamy już cienia wątpliwości, Szanowny Panie Mann, co się tutaj dzieje. Sprawa jest jasna jak słońce: Mamy zostać wypięgowani! Co dokładnie zamierzają Niemcy, tego nie wiemy, niestety. Za to wiemy aż nazbyt dobrze, jaki los spotyka Żydów w Pańskiej dawnej ojczyźnie, i żyjemy nadzieję, że nowa nazistowska Rzesza nie będzie się rozrastać w nieskończoność i że nie dosięgnie pewnego dnia swoimi śmiercionośnymi mackami naszego kochanego miasta. Doktor Franck, który kiedyś jeszcze jako przewodniczący Poalei Zion¹⁴ najchętniej przeniósłby cały Drohobycz nad brzegi Jordanu albo w góry Galilei, dziś mówi, że jeśli wrogowie Judy rozszaleją się na dobre, tak czy siak pozostanie nam jeszcze modlitwa. I uważa, że w tej sytuacji powinniśmy

¹⁴ Robotnicy Syjonu – marksistowsko-syjonistyczny ruch żydowskich robotników, który zaczął się tworzyć w 1897 roku w Mińsku w Rosji. Przep. red.

działać z wielką rozważą, jak najbardziej dyplomatycznie, i ciągnąć tę pożałowania godną farsę, cackając się z Pańskim sobotwórem jak ze zgniłym jajem, kto wie, może to jedyne wyjście, może tylko to nas uratuje, później... Zapewne mając na uwadze to ostatnie, zanim opuścił dworcową kafenię, zaoferował tej kanalii – na resztę pobytu w Drohobyczu, niech znika stąd jak najszybciej! – gościnę w swoim mieszkaniu, ponieważ jest tam o wiele jaśniej i przytulniej niż w łazience dyrektora hotelu, co prawda to prawda. W sali rysunkowej podniósł się tymczasem nieopisany zgiełk, wojna wszystkich ze wszystkimi wisiała na włosku, wobec czego uznałem, że najwyższa pora kończyć naszą rozmowę, jeszcze chwilę staliśmy obok siebie połączeni ciężkim milczeniem, pogrążeni w ponurych myślach, kiedy nagle chwycił mnie za ramię i zapytał, spuszczać wzrok, czy nie mógłby ewentualnie, dopóki nie minie najgorsze, u nas zamieszkać. Co miałem mu na to odrzec? Że Hania nienawidzi gości? Że nastrój na jego gołej dwor-



cowej ławce z pewnością jest jednak dużo lepszy, pomimo wszystko, niż w tym zimnym, smutnym domu? Że my wszyscy, tak czy siak, jesteśmy zgubieni i że Bóg dla każdego z nas przewidział inny koniec?”.

Jak tylko Bruno postawił znak zapytania wieńczący ostatnie zdanie, ciepła, szara bryła w jego brzuchu zrobiła się tak przeraźliwie gorąca, że musiał natychmiast zdjęć ciężką tweedową marynarkę i rozpiąć kołnierzyk u koszuli. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła taty i przez chwilę przyglądał się bez słowa, ze ściśniętym sercem obu gołębiom na jego biurku, które, nie poruszając się, też patrzyły na niego w taki sam sposób. Wtedy otworzył ostrożnie dolną przegródkę biurka i wyjął z niej duże, stare pudełko na cygara. W tym pudełku od niepamiętnych czasów przechowywał swoje skarby, wszystkie te rzeczy, które były dla niego naprawdę ważne i cenne: miniaturowy stetoskop z mosiądzu, wytarty i pociemniały od starości, który był ulubioną zabawką taty w jego ostatnich miesiącach życia. Staruszek cały-

mi dniami, a zwłaszcza nocami przykładał go do podłogi w ich starym domu w rynku, żeby móc lepiej słyszeć, co mają mu do powiedzenia mieszkające pod spodem myszy, pająki i kuny. Adeliną miotelkę do kurzu, z którą łączyły go dobre i złe wspomnienia. I – porozrzucane po całej skrzyneczce – jeszcze dziś wiejące dobrze mu znanym smrodkiem trociny, które w minionych latach potajemnie kradł ze skołtunionych włosów Heleny Jakubowicz. Gmierał palcami, jakby poszukiwał złota, w tej wilgotnej żółtej kupce, myśląc o pięknych, niebezpiecznych rzeczach, w które Helena Jakubowicz chciała się zaopatrzyć w jednym z tych podejrzanych, nieustannie zmieniających adres, źle oświetlonych sklepów za rynkiem, żeby mogli sobie jeszcze lepiej dogodzić – i znów się uspokoił, i nawet przestał się pocić.

– Panie profesorze Schulz – powiedział do niego szary gołąb stanowczym, ale jeszcze lekko pokwitającym głosem młodego Theo Rosenstocka i wpatrywał się w niego czarnymi oczkami jak ślepiec. – Pani Jakubo-

wicz jeszcze raz nas przysyła. Mówi, że powinien się pan pospieszyć, bo inaczej będzie źle. Czas ją goni, tak się wyraziła, bo później jest umówiona w barze Savoy z tym panem z Niemiec, a przecież musi jeszcze poprawić nasze prace z filozofii, które obiecała nam oddać jutro.

– Ja na pewno dostanę szóstkę – powiedział biały gołąb i zachichotał. Bruno nadstawił uszu i rozpoznał dziewczęcy głos Hermanna, średniego syna piekarza Lisowskiego, który był tak samo głupi jak uroczy, i życzył mu z całego serca, żeby miał rację.

– Figa z makiem, na pewno nie dostaniesz – powiedział szary gołąb. – Fenomenologia ducha według Hegla!¹⁵ Co ty w ogóle z tego rozumiesz?

– Nic – przyznał szczerze biały gołąb. – Ale na dużej przerwie zaraz po klasówce

¹⁵ Fenomenologia według G.W. Hegla: nauka o fazach rozwoju świadomości/ducha od prostego poznania zmysłowych danych do wiedzy absolutnej. Przyp. tłum.

pomogłem pani Jakubowicz wyskubywać jej z włosów całe mnóstwo much i chrząszczy. Ach, mówię ci, były takie smakowite, że jeszcze teraz ślinka mi cieknie.

– Hermann, jesteś takim słodkim, małym głuptaskiem – powiedział szary gołąb. Pokręcił energicznie głową i zaczął doprowadzać do porządku rozchełstane upierzenie na piersi, skubiąc je swoim idealnym dziobem. Biały gołąb natychmiast poszedł w jego ślady, potem oba się zaśmiały, szary gołąb rozpostarł skrzydła, w gnieniu oka wzbil się w powietrze, zrobił nad stołem dwa, trzy koziolki i usiadł znów obok swojego towarzysza na czarnym, błyszczącym abażurze lampy Bruna.

– A ja mam muirowaną szóstkę ze sportu – powiedział z dumą szary. – Chyba pan nie zaprzeczy, panie profesorze? Ale z rysunków tylko trójkę, prawda?

Bruno skinął głową, zamknął ostrożnie pudelko do cygar i postawił je na biurku. Potem wsunął ołówek do notesu, zatrzasnął go odrobinę za głośno i powiedział beznamiętnym głosem człowieka, który mówi we śnie:

– Theo, czego właściwie chce ode mnie pani Jakubowicz? Dlaczego mam jeszcze dziś maszerować do szkoły? Przecież jest środek nocy! Zresztą powiadomiłem kogo trzeba o mojej chorobie, więc nie widzę potrzeby...

– Ma pan odebrać swoją karę, panie profesorze – wyjaśnił pospiesznie biały gołąb.

– Cicho bądź! – przerwał mu szary gołąb.

– Myślałem, że pani Jakubowicz już się na mnie nie gniewa. Chłopcy, czyżbyście mnie przedtem okłamali?

Theo i Hermann milczeli, a inne gołębie, które zebrały się na gzymsie okiennym i na posadzce, urwały raptownie swoje taneczne dreptanie w kółko, wszystkie głowy zwróciły się ku nim, a czarne jak sadza guziczki oczu wpatrywały się z napięciem w całą trójkę w oczekiwaniu, co teraz nastąpi.

– Karę? Jaką znowu karę? Za co?

– No dalej, Theo. – Biały gołąb dał lekkiego kuksańca szaremu. – Powiedźże mu wreszcie. Bo inaczej ja to zrobię, ale wtedy jak zwykle wszystko pokręcę. A potem pani

nauczycielka będzie na mnie zła, i pan profesor Schulz też.

Theo sfrunął z lampy na biurko, wskoczył Brunowi na otwartą dłoń, kolnął ją raz, a potem drugi i dopiero wtedy pobiegł po przepoconym rękawie jego koszuli na ramię.

– Ale musi pan przybliżyć ucho, panie profesorze, jeszcze trochę – powiedział. – Wolę nie mówić tego na głos.

Bruno zrobił to, czego zażądał od niego uczeń, i natychmiast przeszył go dreszcz, kiedy z głębi przewodu słuchowego wyłowił jakieś szalone syczenia i gwizdy.

– Ona mówi – szeptał Theo, dotykając raz po raz małżowiny usznej Brunona kościstym dzióbkiem i robił to naprawdę bardzo delikatnie – że pan zaraża nas wszystkich swoim smutkiem. Ona uważa, że jest pan najbardziej bojaźliwym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała, i że przez tę pana bojaźliwość, po prostu zwykle tchórzostwo, świat nigdy nie pozna najpiękniejszych książek, jakie kiedykolwiek napisał człowiek. To pańskie czarnowidztwo, ten brak wiary

w siebie, ten defetyzm są naprawdę okropne i nie do wytrzymania, jest pan złym, złym...

W tej sekundzie ktoś zabębnił głośno w drzwi sutereny. Gołębie – również Theo – jak na komendę wzbily się przestraszone w powietrze, a niektóre poleciały tak wysoko, że uderzyły głowami w sufit. Wszystkie trzepotały jak szalone skrzydłami i całe pomieszczenie wypełniło się natychmiast gęstą chmurą maleńkich szarych, białych i brązowych piórek i nieznośnym zapachem klatki dla ptaków.

– Mama chce wiedzieć, czy przyjdiesz na kolację, czy nie, wujku Bruno – zawołali z drugiej strony drzwi Chaimele i Jacek jedynym głosem. – A może wybierasz się jeszcze na ulicę Stryjską, koguciku?

Zaśmiali się – ich śmiech brzmiał jak szybko tocząca się coraz bliżej i bliżej fala, która wielokrotnie rozbiła się z hukiem o jego obojętne uszy – potem, nie czekając na odpowiedź Brunona, pobiegli, wrzeszcząc i tupiąc, na górę, a sekundy później Bruno usłyszał, jak

w kuchni nad nim szurają krzesła, a noże i widelce uderzają rytmicznie w stary rosyjski serwis mamy.

– Cicho bądźcie, dzieci – powiedział Bruno z westchnieniem do gołębi – i nie przeszkadzajcie mi, proszę. Usiądźcie gdzieś grzecznie i pomyślcie o czymś przyjemnym. Na przykład o tym, co chcielibyście dostać na urodziny albo na Chanuka¹⁶. Muszę jeszcze szybko skończyć list, żeby później w drodze do szkoły wrzucić go do skrzynki pocztowej. Zatem cicho sza i ani mru mru. O, właśnie tak, jesteście naprawdę kochani, dziękuję.

Pochwała pana profesora odniosła pożądany skutek. Ptaki natychmiast się uspokoiły, większość z nich usiadła na długim, wąskim,

¹⁶ Hanukkah lub Chanuka (z hebrajskiego Chanukka „poświęcenie”) – Święto Światła. Nawiązuje ono do zwycięstwa Judy i Machabejczyków nad syryjskim władcą Antiochem IV, który zakazał kultu Jahwe. Po wypędzeniu Syryjczyków z Jerozolimy poświęcono miejsce kultu, zapalając wieczny ogień. W czasie Chanuki ortodoksyjni Żydzi zapalają świece w rytualnym porządku. Dzieci otrzymują prezenty. Przep. tłum.

czarnym jak noc oknie i posłusznie schowała szare, białe albo brązowe, zawsze jednak kształtne główki pod skrzydłami. Kilka wyfrunęło przez otwarty świetlik w ciemność na dworze, a Theo i Hermann dziób w dziób, policzek przy policzku, rozsiedli się wygodnie na pudełku do cygar Bruna.

„To, że fałszywy Tomasz Mann musi być agentem gestapo, jest teraz – w świetle najnowszych, porażających faktów – więcej niż pewne”, napisał Bruno, kiedy już otworzył notes, położył go równiutko na biurku i pochylił nad nim wygięte w koci grzbiet plecy, „i śmiem twierdzić, że wyniesie się z naszego miasta dopiero wtedy, gdy już wszyscy postradamy rozum. Jakie to przykre i niesmaczne, że naziści posługują się Pańskim dobrym imieniem, Wielce Szanowny Doktorze Mann, a ponieważ Pan jako głos innych Niemiec musi dbać o swoją reputację, co rozumie się samo przez się, chciałbym ostrzec Pana...”. W tym miejscu Bruno nagle urwał. Nie, trzeba to ująć inaczej, doszedł do wniosku po krótkim namyśle. Szybko przekreślił

więc dwa ostatnie zdania i zaczął jeszcze raz od początku. „Czy to nie straszne, że naziści wykorzystują Pańskie dobre imię, straszne w pierwszej linii dla Pana, Doktorze Mann, ale również dla mnie? Być może dziwi się Pan, dlaczego piszę do Pana po niemiecku, a tak na marginesie, potrafię nie tylko pisać, ale też płynnie mówić, jednakże z silnym podolskim akcentem, który niestety o wiele za szybko zdradza moje pochodzenie, i oczywiście moja miłość do języka niemieckiego jest związana nierozzerwalnie z Panem i z Pańską twórczością, ale też z niedoścignionymi utworami Rilkego, Josepha Rotha¹⁷ i Franza Kafki, którego piękną, zagadkową powieść *Proces* przełożyłem na język polski razem z moją byłą i dawno zapomnianą przeze mnie narzeczoną. W czasie wojny – prawie żaden z moich polskich przyjaciół pisarzy, nawet Gombrowicz, o tym nie wie – wiele miesięcy spędziłem w Wiedniu, gdzie bez

¹⁷ Joseph Roth (1894–1939), austriacki pisarz i dziennikarz żydowskiego pochodzenia. Przyp. red.

większego zainteresowania studiowałem architekturę i wolałem raczej siedzieć w wielkich bibliotekach i czytać, czytać, czytać. Giętkie reguły Miszny¹⁸, niemal uskrzydłona melancholia kaznodziei, subtelna klawornowość Szulchan Aruch¹⁹. Nie, to wszystko nigdy nie było dla mnie. Moja dusza łaknie innej strawy. Ja wolę tęsknić razem z Maltem Laurids Brigge²⁰ i Gustavem von

¹⁸ Miszna – nauka rabinów, początkowo przekazywana ustnie, potem spisana i włączona do Talmudu jako jego podstawowa część; obejmuje zwyczajowe przepisy prawne i rytualne oraz wyjaśnienia praw i norm obyczajowych znajdujących się w Biblii. Przyp. tłum.

¹⁹ Szulchan Aruch – z hebrajskiego „nakryty stół” – we współczesnym judaizmie podstawowy kodeks prawa żydowskiego. Ułożony został przez Josefa Karo. Wydano go w Wenecji w 1565 roku. Szulchan Aruch powstał z myślą o udostępnieniu wszystkim Żydom prawa religijnego i rozwiązań prawnych. Przyp. tłum.

²⁰ Tytułowy bohater słynnej lirycznej opowieści o podkładzie autobiograficznym pióra jednego z najwybitniejszych liryków wszystkich czasów Rainera Marii Rilkego *Pamiętniki Maltego Laurids Brigge*. Polskie wydanie, Czytelnik 1958. Przyp. tłum.

Aschenbach²¹ za końcem, który i tak zresztą wszystkich nas czeka, którego piękno i moment możemy wszelako sami określić – ponieważ Bóg ma wprawdzie dla każdego z nas jakiś plan, zawsze jednak przygotowuje go dopiero w ostatniej ostatecznej sekundzie. I również dlatego jestem tak bardzo, bardzo wściekły na Pańskiego sobowtóra i na jego mocodawców w Berlinie, którzy go do nas przysłali. Ci niegodziwcy zachowują się tak, jakby wiedzieli, co się wydarzy jutro. Uzurpują sobie prawo do stanowienia o naszym końcu. Cóż za bezprzykładna arogancja!

²¹ Główny bohater opowiadania Tomasza Manna *Śmierć w Wenecji*. Pięćdziesięcioletni wdowiec mieszkający w Monachium. Wybitny prozaik, który sztuce podporządkował całe swoje samotne i ascetyczne życie. Pewnego majowego dnia pod wpływem widoku napotkanego w czasie spaceru nieznanego cudzoziemca postanawia wyjechać do Wenecji. Tam zakochuje się w czternastoletnim Tadzium będącym dla niego symbolem piękna, wcieleniem mistycznego Fajdrosa-Hermesa. Miłość daje mu szczęście, wyzwala w nim tłumioną dotąd zmysłowość i „pociąg do przepaści”. Przyp. tłum.

Przy tym zdaniu Bruno zaczął jeszcze bardziej się pocić. Rozpiął gwałtownie koszulę, guziki poleciały po stole jak pociski, a Theo i Hermann tylko cudem uniknęli spotkania z nimi, bijąc zapamiętałe skrzydłami, i kiedy niebezpieczeństwo minęło, usiedli znów na pudełku na cygara, które tymczasem było pokryte ich białymi odchodami. Bruno z wielką ostrożnością oderwał zapisane jego drobnym, falistym pismem kartki, owoc kilku ostatnich godzin, wyjął z szuflady tatowego biurka rękopis i kopertę, na której był już napisany adres w Zurychu i przyklejony znaczek pocztowy, i wsunął do niej rękopis. Przeleciał wzrokiem list, kiwał głową z zadowoleniem, przewracając jedną kartkę po drugiej, i uśmiechał się, i gładził dłonią policzki, a potem dodał jeszcze kilka ostatnich zdań. Życzył Tomaszowi Mannowi, żeby ostatni tom jego historii Józefa odniósł wielki sukces, i prosił go, by w wolnej chwili przeczytał jego opowiadanie *Pourôt do domu*, pierwsze, które napisał po niemiecku i które, korzystając ze sposobności, pozwa-

la sobie przesłać na jego ręce. „Od wielu lat moim gorącym pragnieniem jest, Drogi Doktorze Mann”, zakończył, „żeby moje książki mogły być publikowane również w innych krajach, żeby poznali je nie tylko polscy czytelnicy, a być może spodoba się Panu moje opowiadanie i będzie miał Pan możliwość, jak też dobrą wolę, by mi pomóc. Polski jest naprawdę pięknym, aczkolwiek bardzo ekskluzywnym językiem, którym można się z łatwością udławić, jak pestką melona, jeśli się dobrze nie uważa. Wiem, co Pan teraz myśli! Nie, nie sądzę, żeby to miało sens czekać, aż za Pańskim sobowtórem przybędzie w naszą okolicę jeszcze więcej Niemców. Oby nigdy, przenigdy się tu nie zjawili, a gdyby jednak tak się stało, woła boska, z pewnością nie będą to przyjaciele literatury, tylko dzikie hordy żądnych krwi Germanów. Dziękuję, z całego serca dziękuję, Wielce Szanowny Panie Doktorze Mann, że poświęcił Pan swój cenny czas na czytanie mojego listu, choć, jak zgaduję, ma Pan zapewne dużo ważniejsze sprawy na głowie, zwłaszcza teraz. Nawet

Pan nie wie, jak wiele znaczy dla mnie Pańska uwaga. Z wyrazami szacunku, Pański bardzo smutny i bardzo oddany Bruno Schulz”.

Bruno włożył list do koperty, po czym starannie ją zakleił. Wstał, podszedł do małego lustra z białą luszczącą się ramą, które wisiało obok drzwi, przez chwilę przypatrywał się swojej ładnej, mądrej, trójkątnej twarzy, która nagle wydała mu się szara jak stary papier gazetowy, dwa, trzy razy uszczypnął czubki wielkich jak żagle uszu i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze, a zaraz potem – ponieważ piekielny żar w jego brzuchu był naprawdę nie do wytrzymania – zaczął powoli zdejmować spodnie i całą resztę. Kiedy był już zupełnie nagi, przepłoszył Theo i Hermanna z zapaskudzonego pudełka do cygar i potrząsając głową, wsunął je z powrotem do dolnej przegródki biurka. Potem wziął ze stołu kopertę, odetchnął głęboko i powiedział do obu gołębi, które dreptały już w pełnej gotowości pod drzwiami:

– Chodźcie dzieci, pani Jakubowicz na nas czeka! Komu w drogę, temu czas!



Chwycił kopertę zębami, jak pies myśliwski ustrzeloną w locie dziką kaczkę, burknął niecierpliwie, zgasił lampę i upadł na kolana. Kiedy już otworzył drzwi, pełzał na czworakach, możliwe jak najciszej, schodami na parter, a następnie – obok drzwi prowadzących do mieszkania Hani, zza których dobiegały podniesione głosy, urywane, kipiące gniewem okrzyki i niecenzuralne słowa, wściekle walenie w meble i brzęk tłuczonych naczyń – na zewnątrz na ulicę Floriańską, gdzie paliła się tylko jedna latarnia. Pozostałe latarnie właśnie gasły, spazmatycznie migocąc.

Theo i Hermann oraz inne gołębie przez cały czas kłębiły się za Brunonem, karne i przejęte misją eskortowania pana profesora, a kilka innych ptaków czekało już na niego, marznąc na lodowatym chodniku i w czarnych drzewach przed domem. Kiedy teraz ruszał powoli w kierunku szkoły – musiał doczołgać się do ulicy Piłsudskiego i skręcić krótko przed parkiem miejskim, żeby przez Starą Aleję Weteranów dotrzeć do wielkiego, ciemnego gmachu gimnazjum Jagielly –

wszystkie gołębie równocześnie wzbiły się w o wiele za ciepłe zimowe powietrze i okrążyły go, pół człowieka, pół zwierzę, zataczając duże i małe elipsy w srebrzystej ciemności. Ciche, łagodne uderzenia ich szeroko rozpostartych skrzydeł uspokoiły Brunona, który wyobraził sobie nagle, jak podąża za nimi unoszony wiatrem w bezkresny, rozgałęziony niezliczonymi odnogami, rozgwieżdżony firmament.

Ale po kilku setkach metrów Bruno zobaczył nagle wielką, czerwoną lunę ognia nad nocnym miastem, usłyszał szmer silników i głośnie rozkazy, i kiedy patrzył w lewo albo w prawo, za każdym razem widział na końcu jakiejś uliczki pędzącego ogromnego, czarnego, prehistorycznego owada, którego stopy szczękały i dzwoniły jak żelazne łańcuchy.

„Co to jest?“, pomyślał.

Żadnej odpowiedzi.

Co to jest?!

To jest armia Abimelecha, odezwał się w końcu strach, przybyła, żeby zniszczyć tych wszystkich, którzy najpierw posadzili go na

królewskim tronie, a później sobie przypomniał, że zamordował ich siedemdziesięciu braci.

Ach tak, powiedział Bruno, oczywiście, że też wyszło mi to z głowy, i nie posiadał się z radości, że strach wreszcie znów z nim rozmawia. Potem czołgał się dalej i myślał: „Chcę, żeby Helena zaraz na początek założyła mi na oczy czarną maskę Colombiny i żeby związała mi swoimi pejcjami ręce na plecach, reszta to już jej sprawa. Niech robi, co tylko wyobraźnia jej podpowie”. Chociaż prawie godzinę był w drodze, dobrnął ledwie do majaczącej w mroku, półkolistej bramy parku miejskiego, oddychał ciężko, kolana miał jak dwa siekane kotlety, którymi znaczył za sobą krwawy szlak, a gołębie na niebie nad Drohobyczem leciały jeden za drugim w czerwoną lunę ognia, gdzie paliły się jak słoma.